

JANET SKESLIEN CHARLES

**BIBLIOTEKARKA  
Z PARYŻA**

Premiera 16 czerwca 2021

MANDO 

Kiedy zjawiłam się w Bibliotece następnego ranka, panna Reeder siedziała sama przy stole w czytelnicy, ślęcząc nad gazetą. Wyglądała nieskazitelnie w niebieskiej dżersejowej sukience, z rzęsami pociągniętymi tuszem i wargami muśniętymi szminką. Nie pozwoliła, żeby strach powstrzymał ją przed przyjściem do pracy. Być może czując na sobie mój wzrok, podniosła głowę. W jej minie dostrzegłam tak wiele – troskę, ciekawość, odwagę, czułość.

– Czy ktoś z twojej rodziny ucierpiał z powodu bombardowania?

– Nie.

– To dobrze. – Podniosła telegramy. – Moi błagają mnie, żebym wróciła.

Nie dziwiłam im się. Czasami nawet ja miałam ochotę wyjechać.

– Jak to możliwe, że pani zostaje?

Delikatnie położyła dłoń na moim policzku.

– Bo wierzę w moc książek. Wykonujemy ważną pracę, dbamy o to, żeby wiedza była dostępna, i tworzymy społeczność. I dlatego, że mam wiarę.

– W Boga?

– W młode kobiety, takie jak ty i Bitsi, i Margaret, wiem, że naprawicie świat.

Stali czytelnicy zeszli się, żeby przeczytać wiadomości. „Le Figaro” pogratulował paryżanom zimnej krwi. Informował, że rzucono tysiąc osiemdziesiąt cztery bomby, zabijając czterdziestu pięciu cywili i raniąc sto pięćdziesiąt pięć osób. Zdjęcie ukazywało zbombardowany budynek, z pomieszczeniami wystawionymi na widok wszystkich jak domek dla lalek.

– Każda bitwa jest albo „wspaniałą”, albo „mężną” walką – powiedział pan de Nerciat.

– Codziennie coraz więcej artykułów jest zaczerwienionych – zauważyła profesor Cohen. – Co ci cenzorzy ukrywają?

Pan Pryce-Jones spytał, czy mógłby porozmawiać ze mną na osobności. W jego mlecznoniebieskich oczach widać było troskę.

– Gdybym miał brata, chciałbym wiedzieć.

W szatni, pośród zepsutych parasoli i chybotliwych krzesel, emerytowany dyplomata powiedział mi w zaufaniu, że komunikaty nie podają prawdy.

– Ale... w gazetach piszą, że wygrywamy.

Nie, powiedział. Według jego źródła w ambasadzie schwytano dziesiątki tysięcy francuskich i brytyjskich żołnierzy. Pod Dunkierką Niemcy otoczyli oddziały alianckie, które za sobą miały kanał La Manche. Ryzykując ataki ze strony wroga, angielskie statki podpływały, żeby ewakuować żołnierzy. Wkrótce na kontynencie prawie już nie było brytyjskich sił wojskowych.

Opadłam na krzesło, nie będąc w stanie pojąć przepaści pomiędzy tym, co przeczytaliśmy, a tym, co mówił były dyplomata. Brytyjczycy wycofywali się zaledwie kilka tygodni po tym, jak zaczęła się prawdziwa walka. Co będzie z francuskimi oddziałami? Co się stanie z Rémym?

– Przykro mi, *ma grande*.

– Słusznie pan zrobił, że mi pan powiedział. Dlaczego nie mogli uratować naszych żołnierzy?

– Według moich źródeł pomogli tylu, ilu zdołali. Pamiętaj, że tych trzysta tysięcy mężczyzn próbowały ewakuować nie tylko statki wojskowe, ale też kutry rybackie i żagłówki. Linia Maginota zapewni nam bezpieczeństwo, Francja ma najlepszą armię – stek kłamstw. *Och, Rémy, gdzie jesteś?* Gdyby coś mu się stało, zakładałam, że bym wiedziała, a nic nie czułam.

Kilka dni później w drodze do domu skręciłam na obsadzony drzewami bulwar, spodziewając się, że znajdę się wśród dam podziwiających sklepową wystawę rękawiczek Kislava (jedwabnych i bawełnianych, skórzanych i koronkowych) i kostiumy Niny Ricci (obszyte wiewiórczymi ogonami, *bien sûr*). Tymczasem na chodnikach i ulicznym bruku tłoczyły się tysiące ludzi, tłumy tak wielkie, że nie widziałam nic po drugiej stronie ulicy. Wszyscy byli oszołomieni i wstrząśnięci. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, przez co ci ludzie przeszli, horrorów wojny, przed którymi uciekali. Część rodzin jechała wozami ciągniętymi przez woły, ze spiętrzonymi materacami. Inni wlekli się pieszo, taszcząc tobołki albo pchając dziecięce wózki z górami talerzy. Byli w tym tłumie wieśniacy w roboczych butach i mieszkańcy miasta w lakierkach i czółenkach. Babcia w poplamionej od potu sukience tuliła w ramionach żeliwną patelnię, a jej mąż dźwigał parciany worek. Nawet dzieci coś niosły – Biblię, torbę z wysypującymi się ubraniami, klatkę z ptakiem. Wielu szło w grupkach, ale niektórzy byli sami. Żołnierz z brudnym bandażem owiniętym wokół ręki niemal na mnie wpadł. Dziewczyna w moim wieku trzymała przed sobą niemowlaka, jakby nie bardzo wiedziała, jak go nieść. Może jej męża powołano do wojska, a ona została sama z dzieckiem. Potrząsała nim lekko, jakby chciała go obudzić. Policzki miał chorobliwie zielonkawe, kończyny nieruchome. Niezdolna spojrzeć prawdzie w oczy, odwróciłam się. Obok mnie rolnik błagał swojego byka, żeby się ruszył. Matka szeptała do kilkulatek. Ale ludzie na ogół milczeli, jakby brakowało im słów na opisanie tego, co zobaczyli. Po ich umęczonych twarzach widziałam, że ich życie już nigdy nie będzie takie samo. Stałam na ulicy, towarzysząc im z szacunku,

tak jak postąpiłoby się, widząc kondukt pogrzebowy, a później poczłapałam do domu.

Przy kolacji tata powiedział, że razem ze swoimi podwładnymi nosił tym niespodziewanym uchodźcom tace z kawą. Większość pochodziła z północnego wschodu Francji. Wielu nigdy wcześniej nie opuściło swojej wioski.

– Uciekali przed niemieckimi żołnierzami. Mężczyźni, z którymi rozmawiałem, zwykli rolnicy i kupcy, nie otrzymali żadnej pomocy ani wskazówek. Pierwszy wyjechał ich burmistrz.

– Dokąd ten świat zmierza? – zadumała się mama. – Biedni ludzie. Co się z nimi stanie?

– Dotrą na południe – odpowiedział tata, ściskając dłoń mamy. – Tam, dokąd powinnyście się udać z Odile. Mnie trzymają tu obowiązki, ale chcę, żebyście wy pojechały tam, gdzie jest bezpiecznie.

Mówił rozsądnie. Spodziewałam się, że mama na to przystanie, ale cofnęła się, jakby uderzył ją w twarz pozwem rozwodowym.

– *Non!*

– Ale, Hortense...

Wyrwała dłoń z jego dłoni.

– Tutaj wróci Rémy. Nie wyjadę.

*Point final.*

•

My, paryżanie, byliśmy światowi. Chodziliśmy szybko, ale nigdy w pośpiechu. Na widok kochanków w parku nie drgnęła nam powieka. Bywaliśmy elegancy, nawet wynosząc śmieci, elokwentni, gdy kogoś obrażaliśmy. Lecz na początku czerwca, gdy się rozeszło, że niemieckie czołgi są już tylko parę dni od

miasta, my, paryżanie, zapomnieliśmy o naszej światowości. Tyle mieliśmy spraw na głowie – kończenie pakowania, zamykanie drzwi, pośpiech – że straciliśmy grunt pod nogami. Niektórzy biegli na dworzec odprowadzić bliskich do pociągów, które zawiozą ich w bezpieczne miejsce. Inni przyłączali się do rozpaczliwej procesji wozów i taczek, samochodów i rowerów, a szewcy, rzeźnicy i rękawicznicy zabijali deskami okna i wyjeżdżali. Każde mieszkanie z zamkniętymi okiennicami, każde zamknięte drzwi były dowodem, że wydarzy się coś strasznego.

